

Ciepło, optymizm i wyrozumiałość, czyli

# Janda na uspokojenie

Fenomenem osobowości **Krystyny Jandy** jest kontakt, jaki aktorka potrafi nawiązać z publicznością. I wszystko jedno, czy to ukochana przez widzów, szalona i bezpośrednia Shirley Valentine, czy tragiczna postać rozdartej przez okoliczności — Fedry. Nie chodzi bowiem o protekcyjnalne puszczenie oka w kierunku pierwszych rzędów, lecz o wiarygodność emocjonalną.

Coś takiego dzieje się także w pisarstwie Krystyny Jandy, które gwiazdą uprawia nie tylko z zacięciem, ale i talentem. Właśnie wyszła jej kolejna książka, której tytułu czytelnicy (wiem od księgarzy) nawet nie znają, a rzecz kupują „na hasło” — proszę nową Jandę. Złożyły się na tę pozycję felietony, pisane przez aktorkę najpierw

dla miesięcznika „Uroda”, potem dla „Pani”. Króciutkie opowieści z życia wzięte, dokładnie zaś z jej życia prywatnego, oczywiście w granicach rozsądku. Pisane w pierwszej osobie, ale nie egocentryczne, jeśli kogoś aktorka traktuje bowiem krytycznie, to głównie siebie. A ma w tej mierze poczucie humoru godne pozazdroszczenia — nie kryje wad, słabostek (przewrotna opowieść o zabobonach) czy lęków, zgoła irracjonalnych. Nie wiadomo jednak kiedy i jak przestajemy (panowie także, to nie jest tzw. damska lektura!) podglądać aktorkę, a zaczynamy myśleć o własnych doświadczeniach. Krystyna Janda wychodzi od szczegółu, czasem wprost drobiazgu, a dochodzi do prostych i celnych uogólnień: Nie sili się przy tym ani na filozofię, ani na pouczanie, ani nawet na

komentarz. Ot, tak sobie, mimochodem jakby, nazywa rzeczy po imieniu.

Pisze nie tylko o błahostkach. O sprawach bolesnych też, ale tak dużo w tych felietonach ciepła, optymizmu i nadziei, że jakoś uśmiechamy się po ich lekturze. Jak choćby po historii o potrzebie wyrozumiałości dla... „pipającego” zegarka, o wypędzaniu duchów ze stare-

go domu w Milanówku, o końcu żywota pewnego historycznego tapczaniska. Janda, choć niewątpliwie uprawia kreację literacką, nie zakłamuje własnego charakteru, rozpiętego między pragmatyzmem a egzaltacją, skłonnością do sentymentów a chłodną kalkulacją. Moim ulubionym tekstem w omawianym zbiorze jest „Spadaj! Jestem facetem” — to jest to.

Jest jeszcze jeden magnes, przykuwający nas do książki — język. Mnóstwo słów pięknych, a rugowanych z polszczyzny, ale i urokliwych kolokwializmów, dramaturgiczna konstrukcja opisywanych zdarzeń, celne pointy.

Aha — książka nosi tytuł „Różowe tabletki na uspokojenie”.

**HENRYKA  
WACH-MALICKA**

